

Dyskursy ekonomistów, prowadzone od czasu ujawnienia przez GUS wybuchu inflacji (6,8 proc. r./r. w październiku, 7,7 proc. w listopadzie), oswoiły już wprawdzie ucho obywateli z tym słowem, ale nadal trwa spór o przyczyny. Czy odpowiadają za inflację czynniki zewnętrzne, np. globalne zwwyżki cen energii (jak mówią politycy PiS), czy też inne, jak krótkowzroczna polityka gospodarcza, destrukcyjna rola NBP, ukrywane horrendalne zadłużenie państwa i nadmierna podaż pieniądza, podcinająca stabilność ekonomiczną kraju w dłuższym okresie?

Spór polityków z ekonomistami mamy praktycznie za sobą. Wiemy, że wybuch inflacji nie ma jednego źródła, ale jest sumą działań rządzących, poddyktowanych nie długoterminowym interesem społeczeństwa, lecz kupowaniem poparcia dla utrzymania się u władzy. Perfidne jest to, że społeczeństwu płaci się tymi samymi pieniędzmi, które dzięki inflacji zostały na nim „zarobione” przez budżet. Na inflację złożyły się czynniki o działaniu odłożonym w czasie, np. stałe stymulowanie gospodarki konsumpcją, czego przykładem jest „wyborcza” wypłata 14. emerytury w szczycie niepewności pandemicznej. A z punktu widzenia przedsiębiorców – wprowadzenie do polskiej gospodarki niepewności inwestycyjnej, zanegowanie prawa do sądu, szaleńczy rajd płacy minimalnej (w oderwaniu od produktywności), wszechobecne poczucie, że kraj jest rządzony w imię interesu partyjnego, a nie dobra ludności.

Co to jednak obchodzi szarago Kowalskiego? Ano obchodzi, gdy stwierdza w sklepie, że za jego 500+ może już tylko kupić tyle, ile początkowo za 350 zł i znów przestaje mu starczać do pierwszego. Wtedy temat staje się polityczny, bo na obietnicy wydobycia polskich rodzin z biedy zdobyła władzę tzw. Zjednoczona

Coraz droższa rzeczywistość



WOJCIECH WARSKI

Debatę gospodarczą zdominowało słowo „inflacja”. Młodszy muszą sobie przypominać, co ono znaczy i jakie ma skutki. Starsi na jego dźwięk błędną, przypominając sobie hiperinflację transformacyjną z lat 90.

Prawica. 24 proc. polskich rodzin nie ma żadnych oszczędności i żyje z bieżących dochodów, a następne 11 proc. ma co najwyżej 1000 zł „zaskórniaków”. Dla nich podatek inflacyjny, jaki nałożyli rządzący, nie jest tylko zmniejszeniem się wartości pieniądza, w tym oszczędności (bo ich nie mają). Dla jednej trzeciej społeczeństwa to szok życiowy, bo raz rozbudzone oczekiwania konsumpcyjne i poleganie na „opiece” państwa zderza się z rzeczywistością i cofa ekonomicznie o dekadę.

Koszty utrzymania

Polskie społeczeństwo jest ubogie, długo jeszcze na dorobku, mimo że propaganda szermowała oszukańczym sloganem wstania z kolan. Sytuacja dla uboższej części ludności jest dużo poważniejsza, niż wynikałoby to z 7,7-proc. wskaźnika inflacji, bo o jej kondycji finansowej decydują ceny żywności, stawki energii i czynszów, które stanowią aż 45 proc. koszyka

spożycia, a dalsze 11 proc. to wydatki na zdrowie i utrzymanie gospodarstwa domowego (bez alkoholu). A skoro ceny tych towarów i usług wzrosły o 10–30 proc. r./r. (a niekiedy więcej), to symulacja kosztowa pokazuje, że dla tych grup ludności spadek wartości pieniądza, wydawanego w całości na przeżycie, jest co najmniej kilkunastoprocentowy. I to jest właśnie drożyzna, którą ludność odczuwa tym bardziej, im jest uboższa.

To przekłada się na roszczenia płacowe wyższe niż oficjalne wskaźniki inflacyjne. Tak powstaje spirala cenowo-płacowa, destrukcyjna dla całej gospodarki, a nie tylko najuboższych. Wyższe płace skutkują, choć z opóźnieniem, wzrostem cen towarów i usług wytwarzanych w firmach. Inflacja producencka sięgnęła w październiku 11,8 proc. Trudno będzie zatrzymać to dodatnie sprzężenie zwrotne i zdusić inflację do optymistycznych prognoz prezesa Głapińskiego. Sukcesem będzie, jeżeli inflacja zatrzyma się na obecnym wysokim poziomie i nie będzie

rosła. Biorąc pod uwagę politykę polskiego rządu i wprowadzany właśnie chaos Polskiego Ładu, nie ma na to wielkich szans.

Można się spierać, czy inflacja była zamiarem rządu w celu ukrytego opodatkowania społeczeństwa, czy tylko „wyrwała się spod kontroli”, ale faktem jest gigantyczne, szybko rosnące zadłużenie pozabudżetowe, starannie ukryte w przeróżnych funduszach celowych firmowanych przez PFR i BGK. Wydatki przewyższające wpływy budżetowe podczas wyjątkowo dobrej koniunktury gospodarczej, stałe stymulowanie gospodarki konsumpcją musiało skończyć się wzrostem inflacji. Pandemia tylko dodała kolejne dziesiątki miliardów długu. Niezrównoważenie budżetu w dobrych czasach było niewybaczalnym błędem.

Ostatnio do palety nie-szczęście doszło osłabienie złotego. Można sarkastycznie rzec, że skoro prezes Głapiński tak bardzo nie chciał euro i tak bardzo chciał dysponować walutą, którą można manipulo-

wać w celu „elastycznego reagowania”, no to ją ma. Tyle że nie ma jak nią sterować. A za tym idzie roczny przyrost kosztu obsługi długu zagranicznego, gwałtowne perturbacje dla gospodarki z powodu skokowym wzrostu kosztów importu konsumpcyjnego i zaopatrzeniowego (właśnie zobaczyliśmy deficyt w obrocie handlowym z zagranicą), kolejne wydrenowanie społeczeństwa – tym razem klasy średniej – z oszczędności.

Dziurawa tarcza

Szumnie zapowiedziana kolejna „tarcza” – tym razem antyinflacyjna – nie jest żadnym rozwiązaniem problemu. To działanie na objawy inflacji, a nie na jej źródła, dające tylko na krótko niewielkie odciążenie domowych budżetów. Znow w działaniach widać rękę PR-owców, a nie ekonomistów. Z tych propozycji sens ma tylko obniżka VAT na gaz i prąd oraz dodatki drożyzniarne dla ubożej części społeczeństwa. Nie słychać o prze-

myślonej strategii walki z inflacją ze strony NBP ani o radykalnych posunięciach rządu, jakim mogłoby być np. odsunięcie proinflacyjnego Polskiego Ładu co najmniej o rok. Dlaczego? Bo prawica nie wie, jak wytłumaczyć to swojemu elektoratowi.

„Dorobek” realizowanych polityk społeczno-gospodarczych Zjednoczonej Prawicy – inflacja, drożyzna, słaby złoty – zostaną z nami na lata. Zadziwiający jest, że do rządzących nie dociera prosta prawda, że to nie pandemia i polityka klimatyczna sprokurowały nam inflację istotnie wyższą niż np. w strefie euro, ale rewolucja społeczno-gospodarcza, jaką od sześciu lat prowadzi partia rządząca i jej antyeuropejska przystawka Zbigniewa Ziobry. Trzeba się do tego odnieść tak, jak historia traktowała każdą populistyczną rewolucję i szybko znaleźć wiarygodne hamulce dla odwrócenia tych zjawisk niezależnie od tego, czyje i jakie będziemy mieli rządy. Podstawą winno być „odspawanie” kolejnych decydentów gospodarczych od specyficznego typu ośrodka politycznego, zainteresowanego przede wszystkim utrzymaniem rządów za wszelką cenę. Warunki konieczne to przywrócenie ładu społecznego, sądowego, likwidacja nepotyzmu, stabilizacja fiskalna i monetarna. Tylko tyle i aż tyle.

Niestety, w obecnym stanie państwa takie „odspawanie” jest utopią. Albo więc będziemy jako państwo tonąć, albo prowadzone rewolucyjne działania PiS zostaną w jakiś polityczny sposób przerwane i nastąpi powrót do racjonalności. Należy też mieć nadzieję, że sprzeniewierzenie się konstytucyjnej roli NBP, mające na celu wspomaganie budżetu i partii, a nie dbanie o wartość polskiej waluty i stabilne ceny, zostanie sprawiedliwie osądzone. /©©

Dr Wojciech Warski jest szefem zespołu doradców gospodarczych Koalicji Polskiej i wiceprezydentem Pracodawców RP.

Czy covid pomoże Lewiatanom urosnąć

Koronawirus zmienił nasze życie. Dostrzegamy innowacje w pracy i edukacji, ale warto też przyjrzeć się zmianom w polityce gospodarczej. Na tym polu kryzys pandemiczny może odcisnąć swe trwałe piętno. Co się stanie? Pandemię porównywano do wojny, pojawiały się metafory „lekarze jako żołnierze na froncie”. Tak można podsumować wypowiedzi polityków czy społeczeństwa w czasie epidemii. To porównanie może pomóc wyobrazić sobie, jak mogą wyglądać zmiany gospodarcze po jej zakończeniu.

Tu skupię się na Lewiatanach. Nie chodzi jednak o sieć handlową czy mitologicznego potwora, ale o to, co miał na myśli James Buchanan. Noblista tak nazywał państwo, które się rozrasta, czego skutkiem jest odbieranie praw i wolności obywatelom. Powiązanie swobód gospodarczych z obywatelskimi zauważał wcześniej inny nagrodzony Noblem ekonomista Friedrich August von Hayek, który w „Drodze do zniewolenia” przestrzegał przed rządami

MATEUSZ MICHNIK

W czasie kryzysu państwo rośnie. Po jego przejściu rozmiar państwa spada, ale pozostaje powyżej wyjściowego poziomu – pisze młody ekonomista.

zbyt ingerującymi w procesy rynkowe i życie osobiste. Podobne rozważania prowadzili Higgs, Peacock i Wiseman. Badał on, jak kryzysy społeczne wpływają na szeroko rozumiany udział państwa w gospodarce i jak długo zmiany te się utrzymują. Wnioski nie są optymistyczne dla przeciwników interwencji – w czasie kryzysu państwo rośnie. Po jego przejściu rozmiar państwa spada, ale powyżej wyjściowego poziomu.

W I kwartale 2020 r. niejako automatycznie w większości zgodziliśmy się na ograniczenie wolności i wprowadzenie lockdownu. Decyzje rządzących same w sobie można uznać za formę zwiększenia władzy państwa – przyzwolono np. na przyznanie kolejnych kompetencji organom publicznym i ograniczono prawo do swobodnego prowadzenia działalności gospo-

darczej. Rezultatem restrykcji były kolejne działania państwa w gospodarce: wypłaty dla firm, programy luzowania ilościowego, a nawet produkcja środków do walki z epidemią.

W 2020 r. w każdym kraju UE zaobserwować można było znaczący wzrost wydatków publicznych w relacji PKB; średnio wzrosły o około 7 pkt proc. Zwiększonym wydatkom towarzyszył deficyt, który średnio wyniósł około 7 proc. Wzrost długu publicznego wiązał się będzie prawdopodobnie z nasileniem opodatkowania obywateli, niezbędne do zapewnienia przyszłej spłaty zobowiązań i zrównoważenia większego budżetu.

Takie wyjście z epidemii widać w Polsce – Polski Ład zakłada progresywny system opodatkowania, a o nowych podatkach czy ich podwyżkach dowiadujemy się co rusz

(np. propozycja podniesienia akcyzy na piwo). Co jakiś czas słychać też o dalszym zwiększeniu kontroli nad gospodarką poprzez przejmowanie firm prywatnych przez państwowe. Rządzący swoimi działaniami i słowami komunikują i realizują etatystyczne poglądy na gospodarkę, których skutki ujrzymy niebawem.

Warto wspomnieć, jak się mówiło i co się mówi przy okazji pandemii. Hasłem, które będzie się kojarzyć z wizją czasów po koronawirusie, jest „nowa normalność”. Dość ciekawie się sugeruje, że po zakończeniu epidemii Covid-19 nastanie nowy porządek. Doświadczenia z „nowymi normalnościami” (badania Peacocka, Wisemana i Higgsa) mówią, że będzie ta normalność bardziej etatystyczna.

Wspomniana retoryka wojenna i argumenty o solidarności społecznej mają przysto-

wać podłoże pod nowe idee etatystyczne i zwiększenie aktywności państwa. Te hasła mają pomóc obywatelom zaakceptować nowe podatki i ograniczenia ich wolności.

Przewidzieć przyszłość może nam przyjrzenie się dyskursowi publicznemu. Wszak polityka jest w dużej mierze efektem idei, a te wyraża się w słowach. O czym się mówi? O zmianach klimatycznych, nierównościach społecznych i innych problemach, które szczególnie w narracjach zwolenników państwowego rozwiązywania trudności wymagają zwiększenia interwencji w gospodarce. Biorąc pod uwagę te tendencje, oczywiste wydaje się, że podejmą one próby rozwiązania tych problemów. Należy mieć nadzieję, że uda się dojść do kompromisu, który idealnie wyważy naszą wolność i skuteczność w walce z problemami.

Czy tak musi się zdarzyć? Czy po pandemii nasza wolność ulegnie znacznemu ograniczeniu, a rząd przejmie większą kontrolę nad gospodarką? Niekoniecznie. Część ekonomistów, jak Vito Tanzi, jeszcze przed wybuchem pandemii twierdziła, że udział państwa w gospodarce może być mniejszy. Oczywiście jest, że z tak złożonymi problemami jak globalne ocieplenie nie poradzimy sobie bez państwa, jednak ich rozwiązań mogą dostarczyć prywatne innowacje.

Co więcej i co najistotniejsze, być może wkrótce pojawią się nowe idee wolności gospodarczej i obywatelskiej. To właśnie one, według Deirdre McCloskey, odpowiadają za Wielkie Wz bogacenie, dzięki któremu ludzkość od XVIII w. znacząco poprawiła swoją jakość życia. /©©

Tekst jest skrótem pracy Mateusza Michnika, studenta Szkoły Głównej Handlowej, który zdobył I nagrodę w X edycji konkursu Młody Ekonomista Towarzystwa Ekonomistów Polskich. „Rzeczpospolita” była patronem medialnym konkursu. Gala nagrodzona praca na rp.pl.